Rok 1900. Lwów, 30. grudnia Nr. 64.



# TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

**Treść Nr. 64:**



*k.*

## XX.

Bolesna! Masz u czoła znak, co go nie zmyje
Woda Wisły błękitnej: to hańba niewoli...
Na dziejowym zegarze sto lat właśnie bije,
Odkąd znak, który pali krew i śmiercią boli,
Padł na oblicze twoje i pokoleniami
Synów twoich i cór twych jasne czoła plami!

O, Matko, coś w purpurze chadzała promienna,
Przez wiek ten jakiej hańby dożyłaś i sromu!
Za rydwanem ciemięzcy kroczysz bezimienna,
Żałobna, z szat odarta, bez głosu, bez domu,
A tym, coś ongi była tarczą i kotwicą,
Upiorem jesteś dzisiaj, biedna niewolnico!

Śladem stóp twoich idą: krew, mord i męczeństwo
I podstęp, co się oczom przymila niegodnie,
I największe niewoli narodów przekleństwo,
Którego znakiem swary i Kainów zbrodnie,
I obłuda, co szepce, że kocha cię wielce,
A na ołtarzach twoich złote stawia cielce...

O, Matko, Bóg twym synom dał silną pierś męską
I wiarę, co od wielu pokus ich wymodli,
Ale niewola straszną i dla silnych klęską
I niejednych zabije, lub — co gorsza — spodli...
Lecz tych po serc niemocy sądź, nie po złej woli:
Ich pierwszą kołysanką była pieśń niewoli.

Sto lat rycerze twoi, upadła królowo,
Błądzą, by ci odzyskać siłę dawnych blasków;
Z mieczem w dłoni, ze skargą w ustach hiobową
Wolności twej szukali u piramid piasków.
Boleść była ich wodzem, — rozpacz ich mogiłą:
Innym znaleźli wolność, lecz twojej nie było!

Nie było cię, o Jasna, w krzyku Targowicy,
Ni w gabinetach tronów, ni pod Sommosierra,
Boś korony swej w obcej nie skryła swietlicy,
Jeno tam, gdzie się wszelki skarb narodów zbiera:
W pieśni wieszczej, co serca w jeden akord sprzęga
I w piersi, którą zgrzebna osłania siermięga.

Poznalim prawdę wieku: owi ludzie prości,
A nie spróchniałe serca twą potęgę wskrzeszą
I purpurę ci wrócą, i praojców kości
W mauzoleum relikwij narodu zawieszą.
Ojczyzno! Daj im jeno świadomości zdolność,
A w nich znajdziesz swą przyszłość i dzielność i wolność!

Wiek bije... Spojrzyj, Matko: pierwsze blasków gońce
Wschodzą nad głową twoją, jak gwiazda zaranna...
Idą rzesze, co stały przez sto lat milczące,
Bieleją się siermięgi, słychać głos: „Hosanna!..."
Z czarnej roli, od pługa podnosi się ręka,
Słyszycie zgrzyt?... To kajdan żelazo już pęka!

## Od Administracyi.

Wielu z Szanownych Czytelników naszych przyzwyczaiło się za dawnego wydawnictwa do uiszczania przedpłaty wyłącznie tylko za pośrednictwem kolporterów Administracyi, co powoduje zarówno pewną stratę dla nas, jak i chwilową zwłokę w regularnej przesyłce pisma. W obopólnym przeto interesie prosimy o nadsyłanie przedpłaty za pośrednictwem przekazów pocztowych wprost do Administracyi „Tygodnika Narodowego" (Lwów. ul. Cicha l. 5).

Każdy z prenumeratorów, którzy złożą przedpłatą od 1. stycznia 1901. otrzyma, **jako premię bezpłatną**, jedną z następujących powieści hrabiego Wojciecha Dzieduszyckiego do wyboru: „W Paryżu" (3 tomy); „Mieszane małżeństwo" (2 tomy); „Święty Ptak" (2 tomy) Cena księgarska każdego z tych dzieł wynosi 6 - 8 koron.

Nadto prenumeratorowie całoroczni otrzymają w ciągu stycznia, jako **drugą premię bezpłatną, ALBUM**, zawierające 10 kartonów z reprodukcyami dzieł pierwszorzędnych artystów-malarzy.

Cena „Tygodnika Narodowego": rocznie 16 koron (8 złr.), półrocznie 8 koron (4 złr.), kwartalnie 4 korony (2 złr.), miesięcznie 1 K. 40 h. (70 ct.).

Wszelkie listy w sprawie prenumeraty i anonsów należy adresować do *Administracyi „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.*

*S. P.*

# Sienkiewicz u siebie.

Życie ludzi wybitnych ciekawe jest nietylko w ich dziełach, ale i w trybie swym powszednim. Jak się czas ich zajęć rozkłada, jakie mają przyzwyczajenia, upodobania, jak pracują? Czy bawią się? O wszystkiem tem chciałyby wiedzieć rzesze czytelników.

Ciekawość to najzupełniej usprawiedliwiona. To też, niezawodnie, czytelnicy przyjmą to z zadowoleniem, że im z okazyi jubileuszu znakomitego pisarza, podamy tu kilka szczegółów, malujących Sienkiewicza, jakim jest — w domu.

Sienkiewicz mieszka w Warszawie przy ul. Wspólnej Nr. 24, wraz z teściową, panią Szetkiewiczową, i córką swoją, panną Jadwigą. Dom narożny trzypiętrowy, brudno-żółtawy, nie różni się niczem od tysiąca innych kamienic warszawskich. W bramie lista lokatorów opiewa: „Henryk Sienkiewicz — literat".

Mieszkanie mieści się na drugiem piętrze. Urządzone bardzo skromnie. Ani śladu modnej dziś pstrokacizny Meble w sali trochę staroświeckie przypominają dwór szlachecki. Znać, że nie zabawa i nie blichtr na pierwszym tu stoją planie, ale praca i życie rodzinne.

Ściany zawieszone obrazami pędzla malarzy naszych. Między innemi widzimy górala zakopańskiego. Pieniny, dziewczę wiejskie i t. p. Na bocznej ścianie w sali główka młodego chłopca w mundurku gimnazyalnym — to syn Sienkiewicza. Gdzieindziej znana grupa „Byk farnezyjski", dar Włochów; tam znowu popiersie marmurowe Sienkiewicza.

Obok saloniku pracownia jubilata — spory jasny pokój narożny o 2 oknach, za nią niewielka sypialnia, na lewo zaś z sali obszerna jadalnia.

Pracownia umeblowana ze spartańską prostotą: duże biuro, zarzucone książkami i dziennikami, fotel i kilka krzeseł. Dokoła szafki z książkami, wśród których widać w ozdobnych oprawach dzieła jubilata w obcych językach. Jedną ścianę zajmuje duży portret zmarłej żony jubilata. Ściany boczne pokryte trofeami myśliwskiemi z Afryki i kraju. W gabinecie stoją różne dary pamiątkowe, otrzymane przez jubilata, że wspomnę kulę szwedzką z murów Częstochowy (dar OO. Paulinów) i puszkę srebrną w formie sarkofagu, z pamiątkami z Wawelu.

Sienkiewicz dzień swój rozpoczyna między godz. 9 a 10 rano. Po przywitaniu się z domownikami, zasiada do wspólnego śniadania. Zazwyczaj pije lekką herbatę ze śmietanką, spożywając przytem parę kawałków surowej szynki lub rozbeaf'u. Po krótkiej pogawędce przechodzi do swego gabinetu i rozpoczyna pracę.

Około 12 służący zanosi mu filiżankę czarnej kawy i 2 lub 3 surowe jaja. Do godz. 2 ej pp., t. j. do pory obiadowej pracuje zazwyczaj bez przerwy. Wezwanie do obiadu jest zarazem chwilą zakończenia codziennej jego pracy twórczej.

Pora obiadowa—to chwila odpoczynku i poufnej pogawędki.

Jakie są ulubione potrawy Sienkiewicza, trudno powiedzieć. Wiemy tylko, że w domu uważany jest za „łatwego stołownika", nie wiele zwracającego uwagi na szczegóły kuchni. Przeważnie wszystko jest dla niego dobre i wszystko mu smakuje — najchętniej widuje na stole najprostsze potrawy. Dba tylko o wytworność podania i tę, oczywiście, ma zawsze.

Lubi też kuchnię litewską, a zwłaszcza wędliny litewskie. Przy obiedzie czasem wypija trochę lekkiego wina — z wodą i wogóle napojów wyskokowych używa mało.

Godziny od 3-ej do 5 ej przeznaczone są na przyjmowanie odwiedzin. Ale w ostatnich czasach były one tak liczne, że zmęczony niemi Sienkiewicz, nawet przed 5-tą zamykał się w swoim gabinecie i odpoczywał z pół godziny. Wogóle, stosunki towarzyskie w Warszawie, choć się w nich Sienkiewicz ogranicza, narzucają się znakomitemu pisarzowi do tego stopnia, że przeszkadzają mu w pracy. To jest jedna z przyczyn częstych wyjazdów Sienkiewicza z kraju Odosobniony, wśród obcych, ma i więcej czasu i większą swobodę myśli, niż wśród licznych warszawskich przyjaciół i wielbicieli.

Około 6-ej wieczorem wychodzi z domu na przechadzkę, lub dla odwiedzenia kogoś z bliższych znajomych. Wizyt ceremonialnych nie oddaje nigdy z zasady. Bo wszystkich odwiedzających go rewizytować nie mógłby, a wyjątków robić nie uważa za właściwe.

Godzina 8 wieczorem gromadzi znów domowników przy stole. Po wieczerzy gorącej, złożonej z jednego dania, serów, owoców i herbaty, około godz. 9-ej Sienkiewicz zasiada do pracy. Wieczorem załatwia korespondencye prywatne, a później czyta, robi notatki i wogóle w godzinach wieczornych prowadzi studya przygotowawcze do prac swoich.

Dopiero doświadczenie nauczyło Sienkiewicza poświęcać pracy godziny ranne. Dawniej pisywał wieczorami. Przekonał się jednak, że rozbudzona fantazya i w chwilach spoczynku snuje dalej obrazy, a to męczyło go, wyczerpywało i przerywało niejednokrotnie sen. Dziś tylko wyjątkowo pisuje wieczorem. Naprzykład rzecz swoję „Na Olimpie", napisał w Warszawie, w ciągu jednej nocy.

Godzina 12 kończy dzień Sienkiewicza. Powiedziawszy dobranoc domownikom, udaje się do sypialni, gdzie czas jakiś czyta jeszcze dzienniki.

Dodać mogę, że mało jest ojców, tak gorąco przywiązanych do dzieci, jak on. Do charakterystyki zaznaczę, że np. drzwi jego gabinetu, zamknięte w godzinach pracy dla wszystkich, dla dzieci stoją zawsze otworem. One nigdy mu nie przeszkadzają i zawsze najchętniej je widzi przy sobie. Jest też Sienkiewicz ukochanym zięciem swojej teściowej, czcigodnej matrony, pani Szetkiewiczowej, którą ze swej strony kocha, jak syn rodzony.

Ze szczególnych upodobań Sienkiewicza, najwybitniejszem jest — upodobanie do łowów. Knieja, polowanie, zwłaszcza na grubego zwierza, skusi go zawsze. Tej przyjemności nie odmówi sobie, o ile można, nigdy. W Królestwie poluje najczęściej u pp. Mysyrowiczów w Łosiu na dziki i u pp. Krasińskich w Radziejowicach.

Grywa również w winta, ale karty nie są jego namiętnością. Gra rzadko, tanio i tylko w zaufanem kółku dobrych przyjaciół, z którymi partyjka jest miłą po pracy rozrywką.

A teraz jeszcze jeden szczegół.

W zeszłym tygodniu miałem miłą sposobność rozmawiania o Sienkiewiczu z rodziną jego, kiedy go nie było w domu.

Na wychodnem, w przedpokoju, odzywa się do mnie służący Paweł, który widocznie był świadkiem poprzedniej rozmowy w pokoju.

— Wielmożny pan będzie pisał o naszym panu?

— Może.

— To proszę, niech pan z łaski swojej napisze, że nasz pan jest bardzo dobry dla służby i że my go wszyscy bardzo kochamy, i ja, i młodsza, i kucharka!

Zacząłem winszować Pawłowi tego przywiązania, ale on mi przerwał.

— Tak — powiada — ale dlaczego to wielmożny pan mnie się nie pyta, co nasz pan robi; przecie ja wiem najlepiej...

Poczciwy Paweł był widocznie obrażony, że go nie interview'owałem co nie przeszkodziło mu jednak odpowiedzieć mi naprędce, przy wkładaniu palta i podawaniu kaloszy, u którego krawca pan się ubiera, kiedy bierze ciepłą kąpiel, kiedy używa szlafroka itd. Ciekawe te szczegóły zanotowałem sobie w pamięci. Opowiem wam je, Sz. czytelnicy, przy okazyi przyszłego 50-letniego jubileuszu znakomitego pisarza.

*Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.*

# Kwestya kobieca na wystawie paryskiej.

## (Z wrażeń osobistych).

(Ciąg dalszy)

Sekcya, zajmująca się p r a c ą, zwróciła baczną uwagę na pracę więzień kobiecych, które obniżają zarobki robotnic. P. Avril de Ste Croix wykazuje, że zakłady filantropijne, klasztory, domy sierót nie dają przygotowania zawodowego, wytwarzają raczej niepożądaną konkurencyę, przyjmując roboty po niskich cenach. Wnosi także, aby w domach poprawczych i w więzieniach zastosowano to samo minimum płacy, które obowiązuje dla robotnic zakładów publicznych. Ważnym w tej sekcyi był wniosek o stworzenie szkół rolnictwa, mleczarstwa, gospodarstwa drobiowego i o dopuszczenie kobiety do wszystkich państwowych zakładów rolniczych. Wniosek ten w formie jeszcze bardziej stanowczej powtórzył się i na kongresie dla praw kobiety. Na obu żądano, aby rolnictwo i ogrodnictwo włączonem zostało do liczby przedmiotów wykładowych w szkołach początkowych.

Hr. de Manpeon omawia stanowisko kobiet w sztuce stosowanej do rolnictwa i przemysłu, kładąc nacisk, że właściwości kobiece takie, jak cierpliwość i wytrwałość w pracy, dar łatwego przyswajania sobie obcych wzorów, subtelność, zręczność, żywość wyobraźni, doskonale się nadają do prac na tem polu. Pomimo znacznego udziału kobiet w sztuce stosowanej we Francyi, otrzymują one niższe płace, w fabryce porcelany w Sèvres używane są tylko do prac przygotowawczych, a nawet przy takiem zapotrzebowaniu pracy artystycznej, jakie wywołały przygotowania do wystawy paryskiej, trudno było kobietom o zajęcie. Prelegentka, a za nią kongres, żąda utworzenia dla kobiet szkół artystycznych, w którychby oprócz teoryi znaleźć mogły sposobność do ćwiczeń praktycznych, oraz równej płacy dla mężczyzn i kobiet za dzieła jednakowej wartości.

W sekcyi filantropijnej pojawiło się także zagadnienie p o m o c y p r z e z p r a c ę w jej ekonomicznych i moralnych rezultatach. Za zasadę przyjęto, że pomoc tego rodzaju powinna być chwilową, starać się zaś należy o umieszczenie pracownicy w przedsiębiorstwie na zwykłych warunkach. Była to wskazówka dla zakładów filantropijnych, które przyjmują od publiczności roboty, ażeby rozdzielać je potem pomiędzy zgłaszające się do nich ubogie pracownice. Naturalnie pomoc ich wtedy tylko ogarnąć może liczniejsze koło potrzebujących, jeżeli nastąpi wyszukanie dalszego zajęcia, a na miejsce dawniejszych wstąpi nowy zastęp pozbawionych pracy. Będzie to filantropia dość uciążliwa, ale jedynie skuteczna.

W sekcyi, dotyczącej prawodawstwa i moralności, kongres uchwalił nader ważny wniosek zniesienia w zakresie obyczajów wszelkich wyjątkowych praw względem kobiet, stawiając na to miejsce kary za każde wykroczenie obyczajowe. Postanowiono tę daleko idącą uchwałę w myśl projektu do prawa, wniesionego przez p. Lejenne, ministra belgijskiego. Spotkamy się z tą samą kwestyą na kongresie praw kobiety, gdzie złożono dowody, że cały świat kobiecy, bez różnicy przekonań społecznych, dąży do zniesienia dzisiejszych hańbiących ustaw o prostytucyi.




KRÓL POLOWANIA.

III.

Duch naszego, czasu obok współpracownictwa w istniejącej pracy społecznej, wysuwa śmiało żądania pomocy od społeczeństwa i praw nowych. Podejmującym pracę dla przyszłości domagać się każe stanowiska obywateli i obywatelek kraju, równych w prawach i obowiązkach, a kwestye jednej płci, zawodu, czy stanu, łączy z ogólną kwestyą społeczną, która tylko w n o w e m społeczeństwie ostatecznie rozstrzygniętą być może. Pojęta w tym duchu kwestya kobieca wytworzyła we Francyi liczną grupę feministek, które, przyjąwszy tę ośmieszoną i zohydzoną nazwę wbrew szyderstwu, ironii, a nawet potwarzy, pozyskują znaczenie i zwolenników Dowodem wzrastającego wpływu tej grupy był kongres dla praw kobiecych, zasiadający od 5—8 września w wielkiej sali kongresów, piąty z rzędu.*

Feminizm właściwe swe siedlisko ma dziś we Francyi, jakkolwiek sprawa praw i swobód kobiecych największe uczyniła postępy w Anglii i Ameryce. Nazwa pojawia się dopiero w 1892 roku. Naród, który na każdym gmachu publicznym, nawet na kościołach i więzieniach, wznosi hasła l i b e r t é, é g a l i t é, f r a t e r n i t é, który przeszło sto lat temu ogłosił światu prawa człowieka, domaga się rozszerzenia tych praw i na drugą połowę ludzkiego rodu, od chwili, gdy w kobiecie dostrzegł niezbędną w wytwórczości społecznej pracownicę i obywatelkę uzdolnioną do podjęcia każdej publicznej sprawy.

Organem feministek jest codzienne pismo L a F r o n d e, gdy odłam konserwatywny kobiecego ruchu grupuje się dokoła wychodzącego dwa razy na miesiąc pisma

* Poprzednie obradowały w latach 1889, 1892, 1896 i 1900.

La femme. Na rue St. Georges posiada Fronda dom własny, gdzie pracują tylko kobiety. Na dole czytelnia pism i skromny bufet, wyżej zecernia, w której składają tylko kobiety, na drugiem piętrze wreszcie lokal redakcyjny i elegancko urządzone salony p. Małgorzaty Durand. Wyłącznie kobiety zasilają artykułami i prowadzą ten dziennik, z którego już po paru latach istnienia uczyniły pismo doskonale informowane, ruchliwe, nie pomijające nigdy sposobności zabrania głosu w każdej sprawie ogólnej, redagowane starannie i zajmująco. Przekonywujący to dowód uzdolnienia kobiet do dziennikarskiej pracy.

Kongres podzielił pracę swoją pomiędzy następujące tematy: a) Kwestye ekonomiczne, moralne i społeczne. b) Wychowanie. c) Prawodawstwo i prawo prywatne. Niechcąc czterodniowych obrad tracić na czytanie referatów, które wydrukować się dadzą, cały czas poświęcono dyskusyi, podając ze strony komitetu gotowe wnioski, ułożone na podstawie uprzednich obrad i referatów, nadesłanych przed 1-ym sierpnia. Dyskusyę poprzedzało zawsze dłuższe przemówienie jednego z członków komitetu, w celu uzasadnienia wniosków i przedstawienia stanu kwestyi. Ażeby jednak zaznaczyć, że najważniejszemi są dyskusya i głosowanie, program nie wymieniał nawet referentek, które wedle możności skracały swe informacyjne przemówienia. Dzięki takiemu układowi cała publiczność brała czynny udział w obradach, a wnioski, sformułowane po dojrzałym namyśle, wyrażone w odpowiedniej formie prawnej, mogły mieć nietylko znaczenie desideratów opinii publicznej niewiast, z którą, jak wiadomo, sprawozdawcy nie bardzo się liczą, ale wotów międzynarodowego parlamentu, zalecanych uwadze prawodawców. Kongres miał wskutek tego znaczenie przeważnie dla stosunków francuskich, ale czyż Francya, a szczególniej Paryż nie przewodniczy ruchowi społecznemu i umysłowemu Europy? Ujemne strony wyłączności francuskiej, powtarzające się zresztą i na innych kongresach międzynarodowych w Paryżu, zrównoważone zostały przez pozytywne brzmienie uchwał.

(Dokończenie nastąpi).

*Dr. Kazimierz Rakowski.*

# Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Biła właśnie druga godzina na wieży kościoła Bernardynów, gdy Beńkowski wchodził w podwórzec zajazdu „pod trzema gwiazdami“. Spostrzegłszy, że pod szopą stoi bryczka, którą przyjechał ze wsi jego opiekun, domyślił się, że i konie muszą być w stajni i poszedł poszukać Stacha, furmana, którego znał z wakacyj, spędzonych na wsi u opiekuna. Stach właśnie czyścił konie.

„Dzień dobry, Stachu!“

„Dzień dobry panu!“

„Co tam słychać?“

„Stara bieda! Pan klnie, na czem świat stoi!“

„A dlaczego?“

„A, bo ja wiem? Jakiś ta list mu przynieśli z poczty, to odrazu zaczął kląć. Potem zaprzęgać kazał i w te pędy ruszyliśmy do Siekierzyna. Przez drogę wołał: „Jedźże, niezdaro — powiada — bo tak nieżwawo ruszasz się na koźle, jakbyś spał!“ — Więc mi w to graj. Pojechaliśmy po kawalersku, a że koniska spociły się, aż im piana z pysków ciekła, jak tu stanęliśmy, to pan dopiero z innej beczki: — „Jechałeś trutniu, nie szanowałeś koni!! Naści za to! — i buch mnie w plecy. Bodajeś kark złamał z taką jazdą, — powiada — nad zwierzęciem litości nie masz! — i znowu mnie buch w kark.“

„A cóż teraz robi! — pytał Staś.

Był w mieście, wrócił, naciskał się, nazłościł, napomstował, że aż ludziom było dziwno, a jak się wysapał, to kazał obiad dawać. Pewnie jeszcze siedzi przy jedzeniu“.

Po chwili służący hotelowy wprowadził Stasia do pokoju, z którego odzywały się tubalne głosy i trącanie kieliszków.

„Więc pan nie jest sam?“ — zapytał Staś służącego, biorąc za klamkę.

„Ma tam jakiegoś znajomego — jednego sąsiada dawniejszego, co niewiem jak się nazywa, ale ma teraz wieś w kępińskim powiecie.“

Staś wszedł do pokoju.

Jego opiekun, człowiek tęgiej tuszy, przysadzisty, z czerwonemi policzkami i zawiesistym wąsem, zobaczywszy Beńkowskiego we drzwiach, postawił kieliszek z winem na stole, obtarł usta serwetą i rzekł do swego towarzysza, jak on sam, typowego szlachcica: A otóż i ten — ten.

Kaszel, przyczyną którego było zapewne zachłyśnięcie się winem, przerwał mu słowa.

Towarzysz jego ciekawie spoglądał na Stasia.

Staś stał przez chwilę, jak pod pręgierzem.

Gdy paroksysm kaszlu staremu szlachcicowi minął, rozpoczęła się rozmowa następująca;

„A cóż to? Nie przywitasz mnie nawet, swego opiekuna i wuja?“

— „Jak się wuj ma? rzekł Staś.

„Jak ty śmiesz się nawet mnie o to pytać z taką miną, jakbyś był niewinnem jagniątkiem? Wiesz dobrze, że źle się mam — i to z twojej przyczyny! Do siebie przyjść nie mogę, takem się zirytował!“

Tu siedzący obok mówiącego towarzysz libacyi uśmiechnął się, bo wiedział, że to tylko po zachłyśnięciu się winem nie mógł się uspokoić jego towarzysz.

Opiekun Stasia mówił zaś dalej zirytowanym głosem.

„Wy młodzi, — Boga dziś w sercu nie macie... Politykę robić Wam się zachciewa! Patrzcie młokosa! — Owszem, uprawiaj sobie politykę, ile dusza zapragnie, ale wtedy, jeśli za swoją głupotę sam tylko odpowiadać będziesz! Kto ma obowiązki względem rodziny, kto ma dzieci, rodziców, komu obowiązki jego stanu nie pozwalają się narażać, kto ma matkę i siostrę, jak ty, ma być kiedyś ich opiekunem — temu wara od polityki! Polityką my się zajmujemy!“ i mówca przy tych słowach szeroką dłonią w piersi się uderzył, a jego towarzysz, nie podzielając wcale tego oratorskiego zapału, z trochę ironicznym uśmiechem wzniósł przy tych słowach kieliszek swój w stronę mówcy i odezwał się: „Prosit“!

Opiekun Stasia mówił dalej: „Pomyśl tylko o swojej matce! Co ta biedaczka musi teraz za katusze przechodzić! Spodziewała się, że niedługo już będziesz miał stanowisko i dochody, a tu biedne matczysko na ładnem cię ujrzy stanowisku!... Powiem ci, że i ja, jako twój opiekun, krewny twej matki, która jest świętą kobietą, chciałem ci dać kilkanaście tysiączków na pierwszy początek, gdybyś już był na swojem — ale teraz zapis cofnę, jak mi Bóg miły, cofnę!“

Staś, który z wzrastającym gniewem słuchał tych słów, nie wytrzymał i rzekł z udanym spokojem:

„To znaczy, że wuj dałby mi w razie, jeślibym tego nie potrzebował!“

Obcy szlachcic zaśmiał się krótkiem „ha ha ha!“ a opiekun Stasia, znajdując podniętę w opozycyi swego pupila, mówił dalej:

„A jakbyś zgadł! Naturalnie, że tak! Zapamiętaj sobie, chłopaku, tę naukę na zawsze! Życie, krewni i dobroczyńcy dają człowiekowi darmo wszystko tylko wtedy, gdy ten człowiek własną pracą dał dowód, że może się bez nich obejść“.

„To ja dam dowód, a potem pięknie za wszystko podziękuję!“ rzekł Beńkowski, skłonił się i chwytał już za klamkę, gdy go opiekun powstrzymał słowami:

„Hola! mój paniczu! Nie tak prędko! Jeszcze cię życie nauczy słuchać starszych bez okazywania niecierpliwości. Co z sobą zrobisz — to już twoja rzecz. Ale moim obowiązkiem, jako twego opiekuna, jest wobec takiej sytuacyi i wobec tego, że nie masz ojca, powiedzieć ci ostre słowa nagany“.

„Już mi to wszystko powiedział dyrektor gimnazyum“, odrzekł Beńkowski bez zarumienienia.

Po tych słowach Stasia jego opiekun, zdawało się, oniemiał. Twarz mu spąsowiała a podczas, gdy szukał słów odpowiedzi na tak harde przemówienie Beńkowskiego, jego

towarzysz, z zaciekawieniem przypatrujący się dotychczas Stasiowi, klepnął się po kolanach i zawołał:

„Paradny chłopak! Jak Boga kocham!“

Po tych słowach zapanowała cisza, którą przerwał po chwili, odzyskawszy mowę, okiekun Stasia:

„Gdyby to tak było za dawnych czasów, tobym cię, chłopaku, kazał rozciągnąć na dywanie i sam własną ręką..“

„Ale, że teraz nie są dawne czasy, więc zamiast tego da mi pan własną ręką moje papiery i świadectwa“ dorzucił Beńkowski.

„Dobrze, dobrze!“ wyrzekł zaperzony stary i podniósłszy się z sofy, poszedł do drugiego pokoju, gdzie w walizce zamknięte miał papiery Stasia, odebrane z gimnazyum.

Beńkowski i obcy szlachcic zostali na chwilę sami. Szlachcic wstał i, podając rękę Beńkowskiemu, rzekł:

„Lubię takich młodych, jak pan. Gdy się wspomni, jak się było młodym...

Ale niech mi pan powie, co pan zamierza z sobą zrobić, bo — jak słyszę — matka samaby opieki raczej potrzebowała od pana...“

„Sądzę, odpowiedział Beńkowski, że uda mi się otrzymać stypendyum z Pomocy Naukowej“.

„Panu? Po tej aferze, po tej polityce?“ powtórzył z naciskiem. „O tem niech pan nie myśli nawet. Pomoc Naukowa i tak jest przez rząd pruski na każdym kroku śledzona. A cóżby to było, gdyby Panu, po tej politycznej aferze, — niech pan uważa: politycznej, mówię, miano dać stypendyum. Przecieżby to było zachętą dla innych, aby wydalań się nie bali, a szli drogą pańską! Pan widocznie nie wie, co to polityka, bo pan jeszcze młody. Polityka — to jak smoła, panie: kto raz z nią miał do czynienia, temu tak przylgnie do palców, że go zawsze poznają!“

„A no, to się urządzę inaczej — odrzekł bezdźwięcznym głosem Beńkowski, w duchu w tejże chwili mówiąc sobie: „To zginę!“

Wtem wszedł do pokoju jego opiekun, trzymając w ręku papiery.

Wręczył mu je z powagą i rzekł, podając rękę:

„My, starzy, musimy być dla młodych wyrozumiali. A pisz do mnie, jeślibyś potrzebował jakiej — —- rady“.

Staś się pożegnał z obydwoma panami i po chwili już był za drzwiami. Gdy wychodził, szumiały mu w uszach słowa: „nie ma mowy o stypendyum“, a z głębi duszy płynął lęk i beznadziejność. „Zginę, zginę,“ szeptały jego usta — „zginiesz“ powtarzało echo w nim samym.

Zwierzęta są pod pewnym względem szczęśliwsze od ludzi. Bo to jest jedynie właściwością człowieka, że z obawą się musi pytać sam siebie: a co będę jadł jutro? —

Zaledwie za Beńkowskim zamknęły się drzwi, gdy opiekun jego odezwał się do swego towarzysza:

„Hardy, bo hardy, z cierpliwości mnie wyprowadził, ale dobra krew, nieprawdaż?“

— „Trzebaby mu właściwie coś pomódz. Widziałem, jak ogromnie wziął to do serca, żem kazał mu się rozstać z nadzieją otrzymania stypendyum Pomocy Naukowej“.

„O, co to, to nie!“ odpowiedział opiekun Stasia. Właśnie niech wie, że tylko na siebie samego może liczyć. W ten sposób tylko wyjdzie na człowieka. Tych młodych trzeba uczyć, jak się zwycięża życie.“

To rzekłszy, trącili się kieliszkami, wypili do dna i kazali dać następną butelkę.

Beńkowski szedł wtedy do domu, a w duszy mu wciąż powtarzał głos jeden: „zginiesz!“ On się temu głosowi pozwolił opanować i powtarzał bezwiednie: „zginę“.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*Karol Brzozowski.*

# Cezarów brat.

Cezarów brat<br>
W oliwny Sad<br>
Wszedł — w butnej kląkł pokorze;<br>
„Twój opuść tron,<br>
„Z niebieskich stron<br>
„Stań tu, o wielki Boże!

„Przez Święty Krzyż!<br>
„Przysięgę słysz,<br>
„Przysięgę mą giermańską:<br>
„Że zduszę tem<br>
„Ramieniem mem<br>
„Wszech buntów myśl pogańską.

„Przez fale mórz,<br>
„Przez grozę burz,<br>
„Na Syna Twego grobie,<br>
„Na chwałę Twą,<br>
„Na sławę mą,<br>
„Sam szedł dać kościół Tobie.

„Przez Ciebiem lew!<br>
„Co ta garść plew,<br>
„Polaki i Duńczyki!<br>
„Ty, Boże, szczęść!<br>
„Giermańska pięść<br>
„Wyszarpie im języki!“

Opuścił Sad<br>
Cezarów brat,<br>
Otuchą siły butny,<br>
A w cieniu tam<br>
U Sadu bram<br>
Zapłakał Chrystus smutny...

*Dr. Jan Stella-Sawicki.*

# ALGERYA.

(Ciąg dalszy)

W średnim pasie, jak powiedziałem, wyżej, ludność składa się z Arabów, Berberów i znacznej ilości kolonistów europejskich. Obfitość ziemi, zdolnej do uprawy, a brak rąk jest przyczyną, że ziemia nie może być uprawiona w należyty sposób. Arabski pług tylko drapie ziemię, nie podejmując jej nawet na pół stopy, ale bogactwo tej ziemi jest takie, że plon wynosi od 15 —20 ziarn. Tu zwykle siada ptactwo przelotne po przebyciu Śródziemnego morza. Widziałem pole pokryte przepiórkami w takiej wielkiej ilości, iż czarne było zupełnie, a zmęczenie małych tych podróżników było tak wielkie, że można było chodzić śród nich i łapać rękami, lub bić kijem. Pomimo zniszczeń, wyrządzonych przez ptactwo przelotne, pas ten jest spichlerzem całej północnej Afryki, a nawet po części całej południowej Europy.

W niektórych miejscach pola polewają się wodą, sprowadzaną kanałami. W tym to pasie Francuzi urządzili u siebie wojenne kolonje. Kolonje te, składające się z Arabów i Francuzów, mają obowiązek odbywania służby pocztowej, strzeżenia bezpieczeństwa dróg i przyuczania Arabów do życia osiadłego, do którego tak mało są przywykli, że nawet w średnim pasie, wyłącznie rolniczym, plemiona arabskie

# KAZANIE SKARGI.

OBRAZ JANA MATEJKI.



Kanclerz Zamojski. Mikołaj Wolski. Hipacy Pociej. Prymas Karnkowski. Agnieszka Firlejowa. Anna Jagiellonka. Królewicz Władysław. Zygmunt III. Katarzyna Ostrogska. Janusz Zborowski. Janusz Radziwiłł. Mikołaj Zebrzydowski. Grupa dzieci. Stanisław Stadnicki. Jerzy Mniszek. Piotr Sapieha. Ksiądz Piotr Skarga. Obcy posłowie. Kardynał Gaetano. Nuncyusz.

cztery razy do roku zmieniają miejsce swego koczowiska.

Bawełna uprawiana w tym pasie, ani trochę nie ustępuje amerykańskiej w dobroci i niektórzy koloniści porobili na niej wielkie majątki. W miejscowościach, odpowiednich dla hodowli bawełny, Francuzi kopią studnie artezyjskie dla wydobycia wody, a ziemia jest tak płodna, że gdzie tylko tryśnie woda, natychmiast grunt pokrywa się najbogatszą roślinnością. Mieszkańcy tego pasu prowadzą handel zamienny i za zboże swe z północy otrzymują wszystko, czego im potrzeba do gospodarstwa domowego, a z południa daktyle i wyroby Sudanu.

Za ostatniemi południowemi wzgórzami Albanu odkrywa się obszerny piasczysty step małej Sahary, pokryty oazami — jest to trzeci pas. Niepodobna dokładnie opisać wrażenia, jakiego doznaje się na widok oazy. Jest to wielki ogród palmowych, pomarańczowych i cytrynowych drzew, śród których wije się ruczaj, albo rzeczka okolona małemi niskiemi domkami z tarasem zamiast dachu. Spokojni i poważni Arabowie, w swych długich białych burnusach, powolnym krokiem przechadzają się po tych ogrodach, lub usiadłszy na ziemi, rozmawiają, admirując cudowny widok srebrnego oblicza księżyca, odbijającego się na zieloności palm, na białych ścianach domków, lub w zwierciadle potoku. Przestrzeń oazy zwykle nie jest wielka, najwięcej ćwierć, lub pół mili kwadratowej. Potok, który ożywia wszystko, przebiegłszy oazę rozlewa się w błoto i wsiąka w piasek. Tylko naokoło potoków i rzek znajdują się oazy; reszta zaś ziemi jest pokryta biedną, spaloną roślinnością. Nawet większe rzeki, jakiemi są Ued Dżedi i Uedmia, mające źródła w górach Albanu, płyną równolegle do tych gór, a potem toną w piaskach pustyni.

Mieszkańcy oaz należą do plemienia arabskiego: w oazach, więcej posuniętych ku południowi, pojawiają się murzyni. Każda oaza zawiera w sobie główne miasto, około którego w pewnem oddaleniu leżą wsie (kruży) od niego zależne i namioty plemion koczowniczych, które szukają miejsc dogodnych do pasienia owiec, a na lato znowu przechodzą więcej na północ. Osiedli mieszkańcy oaz mają także swe pola, które jednak nie są w stanie wyżywić swych właścicieli, bo zbyt są małe. Bogactwem mieszkańców oaz są drzewa daktylowe

Daktyle, zbierane z palm, są trojakiego rodzaju: el hamira, czerwone, el tomasser-białe i el fezanna — wcześnie dojrzewające, bo zbierają się wśród lata, wtedy gdy pierwsze dwa rodzaje dojrzewają dopiero w końcu października. Prędko dojrzewające daktyle są długie, czerwone, bardzo smaczne, lecz nie przechowują się zbyt długo. Jedno i to samo drzewo nie daje plonu dwa lata z rzędu, bo potrzebuje odpoczynku; wreszcie w niektórych miejscach, naprzykład w Angiermie, palmy rodzą corocznie. Dla zachowania dobroci drzew, w jednym roku zbierają daktyle jeszcze niedojrzałe, które służą za doskonały pokarm dla koni, wielbłądów, a nawet i owiec. Daktyle, zbierane w maju, wtedy gdy pestka zaledwo się zawiązuje, tuczą bydło nadzwyczajnie Jedna palma średniej wielkości daje tyle daktyli, że dwa wielbłądy zaledwo je mogą podnieść. Palmy rozmnażają się z gałązek, sadząc je w marcu i polewając akuratnie. Po pięciu latach drzewo zaczyna wydawać owoce. Jeżeli się go nie polewa, drzewo rodzi po 8—10 latach, ale owoce te są tak małe i suche, że używają się tylko na pokarm dla bydła. Daktylowe palmy mają czasami do 30 metrów wysokości i wymagają niezmiernie starannego pielęgnowania. Na wiosnę potrzeba wypleć koło nich wszystkie trawy, a około korzeni wykopać rowek, do którego przeprowadza się woda z blizkiego potoku, żeby według poetycznego wyrażenia Arabów, nogi kąpały się w wodzie, a głowa w ogniu nieba. W kwietniu daktylowe palmy zaczynają kwitnąć. Wtedy to wypełnia się ich sztuczne zapłodnienie, gdyż jak wiadomo, samcze i samicze kwiaty znajdują się na pniach. oddzielnych. Samcze drzewa nie przynoszą żadnych owoców, są w małej liczbie i zazwyczaj rosną gdzieś oddzielnie. Gdy nastąpi chwila, że pręciki pyłkowe, ściśnięte w palcach wydają pewien trzask — wnoszą z tego mieszkańcy, iż pyłek nasienny już dojrzał, chociaż jeszcze nie wysypuje się. Wtedy to nacinają mnóstwo gałęzi pokrytych kwiatami męzkimi, obierają je z pochew włóknistych, potem gałąź rzną na takie cząstki, żeby każda posiadała od 8—10 kwadratów i włożywszy te gałęzie w kapiszon burnusu, robotnik lezie na wierzchołek palmy, pokryty gęstą koroną, czterdziestu, lub pięćdziesięciu liści, między któremi wiszą grona kwiatów samicznych. Tu przywiązuje gałązki z kwiatami męzkimi, które dojrzawszy na słońcu, zapładniają palmę. W innych miejscach, włażąc na palmy, trzęsą dojrzałe zupełnie gałązki samczych kwiatów nad samiczemi i osypują je płodnym pyłkiem. Gdy daktyle dojrzeją, Arab wchodzi na palmę, a ponieważ drzewa te są wysokie, pozbawione gałęzi, od dołu do góry, najeżone kolącemi resztkami odpadłych liści, operacya ta jest bardzo niebezpieczna, bo miejsca zdrapane zaogniają się i sprawiają ból bardzo silny. Zwykle pracę tę wykonują sługi (tchamar), którzy otrzymują za to ćwierć zbioru i połowę gałęzi, na których rosną daktyle. Gałęzi tych używają do palenia w piecu. Arabowie z ostrożności chowają corocznie pewną ilość gron kwiatów samczych dla zapłodnienia, jeżeliby którego roku kwiaty obojej płci nie razem rozwijać się miały.

W czasie wojen, które często toczą między sobą plemiona arabskie w Tunisie i Tripolis, zdarza się że słabszy, nie mogąc stawić dostatecznego oporu, ucieka z oazy na której mieszkał do tego czasu, ale dla przeszkodzenia nieprzyjacielowi osiedlić się tam, ścina palmy samcze. Kwiaty samicze niezapłodnione nie wydają owocu i zmuszają zwycięzcę ustąpić z braku pożywienia.

Daktyle po zebraniu składają się w ciemnych pokojach, gdzie owoce przechowują się tem lepiej, im dłużej schną na drzewie. Ten cenny owoc stanowi całe bogactwo mieszkańców, bo wzamian za daktyle otrzymują masło, mąkę, mięso, odzież. „Nasze palmy, mówi Arab, są to nasze stada“. Rząd francuzki opodatkował palmy w Algierze po 0·50 ct od sztuki.

Arabowie na oazach mieszkają w domach, zbudowanych z gliny, zmieszanej ze słomą. Murzyni zaś mają namioty z łodyg kukurudzy w kształcie ostrosłupa. Oprócz daktyli rosną na oazach pomarańczowe, migdałowe i cytrynowe drzewa, dalej banany, melony, winne grona i papryka. Winne grona w zachodniej części północnej Afryki uprawiają bardzo starannie. Wino, które z nich robią, jest bardzo podobne do win hiszpańskich. Arabowie jedzą winne grona, ale nie wymawiają się też i od wina. Około Tlemsenu widziałem drzewo winogronowe tak grube, że go dwóch ludzi objąć nie mogło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*Anna Neumanowa.*

# Z TEKI PANTEISTY.

Śmierć złudą tylko! — wszak nic nie umiera —
W każdej iskierce tli dusza wszechświata,
Z każdego kwiatu — Bóg-Wieczność przeziera,
Tchnienie twe każde tysiąc istnień brata,
Gdy w niebo wzleci — złotym świtem wschodzi,
Gdy na głaz padnie — jeszcze życie zrodzi.

* * *

A więc naprożno strudzoną pierś kusi —
Mogił sen cichy — gdy byt twój pochłonie
Siła przyrody — w odwiecznem jej łonie
W życie on nowe przetworzyć się musi
Czyn twój, myśl każda ogniwem łańcucha,
Co z Bożem światłem istnień wiąże ducha.

* * *

Więc nie śmierć lękiem, lecz ta powódź życia,
Co się najlichszym udziela dziś tworom,
Cmentarnym dzwonom urąga z ukrycia
I głosem Bożym szumieć każe borom,
A z gruzów nawet tak ruchem, jak gestem.
Mówi ci: „Jestem!“

*Adam Krajewski.*

# Przyczynek do historyi czasów saskich w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Po tej wymianie zdań, jaka nastąpiła między oboma królami za pośrednictwem generałów, uznał August ostatecznie za najlepsze wyjechać ze Saksonii, armię zaś pozostawić na los szczęścia. Przedtem jednak pisze do Fryderyka dwa listy, na które w dniu 16. września 1756 taką otrzymuje odpowiedź z *Sedlitz*:

„Otrzymałem dziś od Waszej król. Mości dwa listy: pierwszy dotyczy Jego rezydencyi (Drezna), drugi Jego podróży do Polski. Zarzuty, jakie Wasza król. Mość czynisz, co do miasta Drezna, są tego rodzaju, że łatwo mogą być usunięte. Co się tyczy podróży Waszej król. Mości do Polski, to spodziewam się, że będzie ona mieć miejsce prędzej, zanim przedsięwzięte przez armię operacye rozpoczną się na wielką skalę. Kosztuje to tylko dwa słowa Waszej król. Mości, aby sprawę rychło i dobrze załatwić. Ja z mej strony nie będę czynić żadnych przeszkód, tak w wydaniu potrzebnych paszportów, jako też w rozstawieniu poczt, gdyby Wasza król. Mość przez Szlązk zechciał jechać, niczego bowiem sobie nie życzę, jak okazać Mu oznaki tego szacunku i estymy, z jakiemi pozostaję i t. d.".

Na drugi dzień po wysłaniu powyższego listu, jakby mu bardzo wiele zależało na wyjeździe jaknajrychlejszym Augusta z Saksonii, wyseła Fryderyk do króla polskiego generała von Winterfelda, który już poprzednio do Augusta posłował z pismem następującem:

„*Sedlitz*, 16. września. Posełam do Waszej król. Mości generała von Winterfelda z prośbą o Jego decyzyę, ażebym mógł wiedzieć, czego się mam trzymać, lub, do czego będę zmuszonym.

*Fryderyk*".



NASZ PIERWSZY PRZEMYSŁ.

Nie ufał August zbytnio przebiegłemu dyplomacie, jakim bez zaprzeczenia był Fryderyk i więcej wierzył ministrom swoim, ciągnącym za sojuszem Saksonii z Austryą i Rosyą. Irytowało to Fryderyka niezmiernie i mimo że od pamiętnego listu z dnia 15. września uważać można było stosunek dyplomatyczny z Augustem za zupełnie zerwany, a co potwierdzał nieodwołalny zamiar króla polskiego wyjazdu do Warszawy, raz jeszcze próbuje król pruski wzniecić w Auguście nieufność do ministrów saskich, pisze bowiem do Augusta z *Sedlitz* w dniu następnym, t. j. 18. września 1756:

„Okoliczność, że Wasza król. Mość autentycznym dowodom, jakie Mu przedstawiłem, a które dotyczą złej woli Jego ministrów, ciągle jeszcze nie wierzy, zniechęca mnie tem bardziej, że jestem w posiadaniu oryginalnych listów. Jestem przekonany i przyzna to cały świat bezstronny, że tylko konieczność, a głównie tak widoczna obecnie zła wola ministerstwa Waszej król. Mości, zmusiły mnie do chwycenia się drogi, która się sprzeciwia moim uczuciom i memu sposobowi myślenia. Wasza król. Mość zdajesz się być nie bardzo pochopny do podróży do Polski, zapomina jednak, że ja nie mogę dłużej czekać, ze względu na postawę wzajemną wojsk Waszej król. Mości i moich. Byłoby mem życzeniem, aby się to raz skończyło. Dowiedziałem się także z przykrością że niektórzy z moich oficerów byli na tyle niegodziwi, iż zatrzymali różną zwierzynę, przeznaczoną dla Waszej król. Mości. Może Wasza król. Mość być przekonany, że gdy się tylko dowiem, ukarzę ich ostro, wszystko bowiem, co dotyczy Jego osoby i familii, jest dla mnie każdego czasu święte. Nie mogę przytem pominąć, że żałuję serdecznie, iż Wasza król. Mość zawarłeś związek z mymi wrogami, a który doprowadził do tej ostateczności tak interesa Jego własnej osoby, jak i jego państwa."

List ten był istotnie aktem kurtoazyi, jak się okazuje z tego, że w tymże samym dniu zdecydował się ostatecznie August do wyjazdu do Polski, czem niemało uradował Fryderyka. W tym dniu bowiem pisze król ponownie do Augusta, a ostatni ten list nacechowany jest niezwykłą serdecznością, jakiej nie znajdujemy w listach poprzednich, pisanych do króla polskiego. W tym dniu przeniósł Fryderyk kwaterę swą do *Struppen* i ztąd też wyszedł list ostatni. Brzmi on następująco:

„M ó j  p a n i e  b r a c i e! Wasza król. Mość wyraziłeś życzenie przedsięwzięcia podróży do Polski. Ponieważ sprawa między nami jasno stanęła, wydałem bez dalszych przeszkód rozkazy, których Wasza król. Mość przez swego majora Zechwitz żądałeś i życzę z serca, aby ta podróż szczęśliwie się odbyła. Tylko od Waszej król. Mości zależeć będzie, jaką Sobie drogę obierze i gdyby Mu przyjemniej było żadnych z mych wojsk na drodze Swej nie napotkać, to proszę mi objawić tylko swe myśli przez generała barona von Spörcken, abym je odpowiednio do życzenia Waszego z drogi usunął. Kończę z najsolenniejszem zapewnieniem Waszej król. Mości, że pominąwszy to wszystko, co byłem zmuszonym w obecnych stosunkach uczynić, zachowam po wszystkie czasy względem Waszej król. Mości najzupełniejszą przyjaźń, w tej wierze, że gdyby kiedy Wasza król. Mość, lub Jego dom królewski czego potrzebywał, pochwycę za każdą sposobność z największą przyjemnością, aby Mu wyrazić najwyższy szacunek i poważanie, z jakiemi każdocześnie dla pana brata pozostaje Waszej król. Mości dobry brat — *Fryderyk.*"

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

# Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

## XII.

W znanej nam już gospodzie pana Gawła siedziało towarzystwo, złożone z kilku młodych ludzi. Na niebie gwiazdy już poznikały, rodził się dzień piękny, wiosenny, majowy, szare jego światło zagasało lampę w pokoju, w którym siedzieli i lepiej, niż ona, pozwoliło poznać sposób, w jaki tę noc spędzono; blade policzki nocnych gości, wypieczone nienaturalnemi rumieńcami, oczy mimo całego ognia, jaki z nich bił, zmęczone, wszystko to teraz dopiero na jaw wychodzić zaczęło. Poznajemy także w obecnych naszych dwóch znajomych Juliusza i Adama, znajdujących się w nielepszym od drugich stanie. Reszta, a było ich pięciu, jak poznać można po ich powierzchowności, była tego rodzaju biesiadnikami, co proszeni, lub nieproszeni pójdą wszędzie za kieliszkiem darmo użyczonym.

Pod samą ścianą, na ławie dywanem pokrytej, znajdowali się Adam i Juliusz, pierwszy niedbale rzucony, zajmując sobą pół siedzenia, drugi w kąt wciśnięty, pilnie bacząc na każdy ruch jego. Współbiesiadnicy, stołem oddzieleni, tworzyli jakby osobne grono, co do rozmowy, choć trunkiem z Adamem byli połączeni, pijąc za jego pieniądze.

Rozmowa jakoś nie szła dzisiaj, być może dlatego, że przez noc całą wyczerpano już cały przedmiot, nadający się do takich chwil, takich miejsc. Czasem tylko wyrywało się jakie słówko Juliuszowi zwrócone do przyjaciela, i teraz też, gdy na ścianie ukazał się wąski promyk słońca on pierwszy wyrzekł cicho:

„Adamie, zeszło słońce. Nie należysz już do siebie — pożegnaj towarzyszów. Wiesz, gdzie masz miejsce dzisiaj. Panowie, żegnamy was, rzekł energicznie, widząc, że Karski się nie rusza.

„Jeszcze zdrowie kawalera“, odezwał się jeden z nich bezczelniejszy.

„Jeszcze jedno“, mruknął przez zęby Adam.

Przyniesiono wina; wychylono ostatnie kielichy na pożegnanie stanu kawalerskiego Adama. Życzono mu szczęścia: wchodził dziś w związki małżeńskie. Potem opuścili izbę wszyscy, z wyjątkiem dwóch. Staroście zerwał się teraz nagle, gdy ostatni wyszedł już za drzwi. Oczy mu błyszczały, jak kryształy dwa, podbiegłe do połowy krwią; włos czarny w nieładzie spadał na czoło, białe dziś, nienaturalne, jak marmur. Zacisnął pięści i rozpoczynając szalony chód po izbie, gadał sam z sobą:

„Silniejszy bije słabszego, słabszy młodszemu musi służyć. Dam ja wam! Chcecie męża, będziecie go mieli. Pełnego pochlebstw, które was cały wstyd będzie kosztować. Jakie małżeństwo, taki i mąż musi być. Sam mówił, że o nic nie pyta, tylko o nazwę. Dam, dam nazwę, ale zapłacicie, o zapłacicie mi, tem samem, co ja wam daję.

„Adamie“, przerwał surowo rudy przyjaciel, „przedewszystkiem zrób, do czegoś się zobowiązał. Pójdźmy już raz, nie wiele godzin ci pozostaje“. Wziął go pod rękę — wyszli.

W kilka godzin po tem, mieszkańcy Warszawy byli w jednym z kościołów świadkami ślubu, o którym wieść rozeszła się już od Wielkiej Nocy. Jeden z głównych przedstawicieli Petersburga wydawał córkę za polskiego starostę. Dziwiło to wszystkich, przez dłuższy czas o niczem innem nie mówiono, nareszcie nadszedł dzień ślubu, ciekawość zaspokojona, pogłoski się sprawdziły. Oglądano cały orszak ślubny z niezmierną starannością. Uwagę widzów zwracał pan młody, który w takich czasach odważył się uczynić coś podobnego; ale po nim nie było śladu troski o zdanie ogółu i szedł z głową dumnie podniesioną i oczami błyszczącemi, któremi świdrował najdalej stojące osoby. Panna młoda niewielu nieprzyjaciół znalazła: blada, z oczyma spuszczonemi, ujęła sobie tą skromnością w tak ważnej chwili. Młodsi mówili, że cudna, jak anioł, z zielonym wiankiem na złotych włosach, z białym welonem. Chciano koniecznie widzieć oczka, sprzeczano się, czy hebany czy fiołki, ale nadaremnie, trzymała je nieustannie spuszczone, a przy ołtarzu składając przysięgę, nie zapłakała nawet, nie otarła ich, ciągle zimna. Ojca również dobrze znaleziono, gdyby nie to, że moskal, uśmiechnięty, dumny i t. d., mówiono — stworzony do takich chwil. Takie też zdanie słyszeć się dawało i o całym ślubie, że dobrze by było, tylko nazwiska i tytuły pozmieniać. Skandalu, w czem, zaczynano już smakować, nie było, dość więc zadowoleni rozeszli się widzowie do domów. Ale, jak opowiadano później, tylko wybrani mieli sposobność być świadkiem sceny dość dziwnej podczas uczty weselnej. Panna młodego nie znaleziono przy niej, rozpoczęły się szepty a bliżej gospodarza siedzący zapewniali, że lokaj zcicha powiedział na ucho teściowi, iż zięć wprost z karety weselnej przeniósł się do innej najętej, i wyjechał nie wiedzieć dokąd, zapewniając, że pod wieczór wróci. Teść uspokoił gości jakiems nic nie znaczącem zapewnieniem, uwierzono mu, tem bardziej, że Adam znalazł się rzeczywiście wieczorem na swojem własnem weselu. Bawił się i drugich zachęcał doskonale, wesół był nadzwyczaj, ujął sobie wszystkich gości, zapomniano o nieobecności w czasie uczty i teść zadowolony był, że wszystko odbyło się spokojnie. Zaraz na drugi dzień młodzi wyjechali do N. gdzie Karski otrzymał niedawno starostwo.

## XIII.

Rezydencyą starosty był jeden z tych dawnych zamków zbudowanych jeszcze za lepszych czasów, dla tych urzędników Ryeczypospolitnj, którzy z jej wysokimi komnatami, ponurymi korytarzami i całem wnętrzem ścisłą tworzyli całość. Przez wpływ rosyjskiego posła, który zresztą rzecz taką za bagatelę uważał, wyrobiono teraz jedno z wakujących miejsc Karskiemu. Zaraz wzięto się do niejakiego uporządkowania, tak, że gdy w trzy tygodnie potem zjechał młody pan z śliczną małżonką, zastali już wszystko na swoje przyjęcie gotowem.

Ludzie wszelakiego stanu przychylnie patrzali na młodą parę i gdyby nie wzgląd na miodowe ich miesiące, zamek niezawodnie roiłby się gośćmi, którzy u staropolskiego urzędnika, gospodarza domu, szukali i staropolskiej gościnności.

Wyższe piętro zajmowała młoda pani, dół był przeznaczony dla starosty, który drugiego dnia po ślubie, otoczywszy się kilkoma Warszawiakami, pędził życie wesołe, czem zresztą z początku nikogo nie dziwił. Służba jednak oczu zamkniętych nie miala, i już po kilku dniach rozeszła się po okolicy wieść o nieszczególnem małżeństwa pożyciu. Mówiono, że z żoną albo raz na dzień przy obiedzie, przy którym nie jest należycie przez obecnych mężczyzn szanowaną, albo wcale się nie widuje. Równocześnie z Warszawy doszła wieść „kto jego i ją rodzi“, domyślano się więc polowania ze strony Adama na protekcyę; gdy tej dowody dostał — rozumowano — zostawszy starostą, nie myśli o młodej żonie, hulaka i pijaczyna. Kobiety litowały się nad nieszczęśliwą.

(Ciąg dalszy nastąpi).



b.—m.

# Przegląd pism.

Przeglądam numer *Kurjera Warszawskiego*, poświęcony jubileuszowi Sienkiewicza. Wtem: a to co? — bilans? — taryfa giełdowa? — wielkie kolumny cyfer... — gdzieniegdzie kreska poprzeczna, na oznaczenie, że cyfry nad nią umieszczone, mają być zsumowane, — patrzę na tytuł: 13.187,852. Zaintrygowany czytam:

„Ile wierszy druku napisał jubilat dzisiejszy, a w tych wierszach wiele mieści się liter? Postaramy się na to pytanie odpowiedzieć...“

He, he — powiedziałby pan Przybyszewski.

Czytam dalej:

I. ARTYKUŁY.

| | wierszy | liter |
|---|---|---|
| *Przegląd tygodniowy* r. 1869: Sprawozdanie z występów gościnnych W. Rapackiego . | 149 | 5.960 |
| *Tygodnik illustrowany* r. 1869: „Mikoł j Sęp Szarzyński“, studjum literackie . . . | 806 | 33.852 |
| *Tygodnik illustrowany* r. 1870: „Kacper Miaskowski“, studjum literackie . ! . . . | 1.209 | 50.778 |
| *Gazeta Polska* r 1878: „Bez tytułu“ (7 kwietnia) | 460 | 18.400 |
| „ „ (22 „ ) | 473 | 18.900 |
| „ „ (5 maja) . | 363 | 14.520 |
| i t. d. i t. d.: | | |
| Potop: | | |
| tom I w. 10.619 lit. 509.712 | | |
| tom II w. 7.186 lit. 344 948 | | |
| tom III w 12 862 lit. 617,376 | | |
| tom IV w. 9.351 lit 448.848 | | |
| tom V w. 7.484 lit. 353.752 | | |
| tom VI w. 8.185 lit. 392.880 | 55.677 | 2 677.516 |
| i t. d i t. d. | | |

„Zatem Sienkiewicz wydrukował od r. 1869-go wierszy 317.033, mających 13,187.852 liter“.

Ślicznie! Teraz przynajmniej wiemy, kim właściwie Sienkiewicz jest! To jest, mosterdzieju, taki pan, który napisał tyle a tyle milionów, tyle a tyle tysięcy i t. d. — liter! Ani jednej literki więcej, ani jednej mniej!

Ale to nic! My Sienkiewicza jeszcze lepiej poznać możemy. Bo:

„gdybyśmy te litery ustawili w jeden olbrzymi wiersz zajęlibyśmy nim wiorst 27, łokci 712, czyli bez mała c z t e r y m i l e“.

Cudownie! Bosko! Pamiętajcie zatem wszyscy, wy, którzy w Sienkiewiczu nie widzicie wielkiego artysty, ale maszynę do pisania, że Sienkiewicz napisał liter: 13,187.852!!!

Ale my, którzy twórczości nie mierzymy na wiorsty, łokci i mile, wyobrazić sobie nie możemy, jak można być tak idyotycznym, i tyle czasu poświęcić na rachowanie każdej literki w dziełach Sienkiewicza. To chyba hösickomania do X-tej potęgi, granicząca z obłędem. Bo nie dziwiłbym się wcale, gdybym w sprawozdaniu dyrektora zakładu dla obłąkanych spotkał się z faktem, iż waryactwo pewnego chorego polegało na liczeniu liter w dziełach sławnych pisarzy; ale dziwię się jeżeli, tak poważne pismo, jak *Kurjer warsz.*, trzy szpalty druku poświęca tak... bardzo ważnej i wartościowej robocie jakiegoś głupca.

— — — — — — — — — — — — — — —

Mam przed sobą dwa sprawozdania z przedstawienia „Fausta“ Göthego w Krakowie. Jedno drukowane w *Czasie*, drugie w *Naprzodzie*.

W *Czasie* czytam:

„Na bardzo korzystne wrażenie, jakie z przedstawienia Fausta wyniosła tłumnie zgromadzona publiczność, składały się rzetelne, z widocznym zapałem i czcią należną dla arcydzieła podjęte wysiłki zarówno dyrekcyi, jak wszystkich grających artystów.

W *Naprzodzie* zaś;

„Ach, jeśli ty czytałeś „Fausta“ i byłeś na przedstawieniu jego części pierwszej w naszym teatrze, to z pewnością byłeś w tem położeniu, co Eurypides, który będąc na przedstawieniu swej tragedyi w teatrze miejskim w Abderze, nie mógł mimo stanowczych zapewnień Abderytów uwierzyć, że to jego sztuka właśnie na scenie jest grana“.

W *Czasie* czytam:

„P. Kotarbiński ma prawo zaliczać Fausta do najlepszych swych ról... Jego pojęcie Fausta było szlachetne i trafne...“

W *Naprzodzie* zaś:

P. Kotarbiński nie był wcale Faustem, lecz tylko p. Kotarbińskim. Grał i deklamował zupełnie źle“.

W *Czasie* czytam:

„Mefistofeles Kamińskiego był głęboko obmyślaną i do najdrobniejszych szczegółów świetnie przeprowadzoną kreacyą, której nie powstydziłaby się żadna europejska scena. Zwłaszcza strona zewnętrzna, malarska była ujęta wybornie: maska, mimika, ruchy i postawa, cała sylweta, sposób noszenia stroju i strój sam składały się na całość godną największej pochwały“.

W *Naprzodzie* zaś:

„P. Kamiński nie uchwycił zasadniczego tonu Mefistofelesa... Mefistofeles ma werwę i humor. Mefistofeles p. Kamińskiego gdzieniegdzie tylko na werwę się zdobywał, raził zaś zupełnym brakiem humoru“.

W *Czasie* czytam:

„P. Przybyłowicz w roli Wagnera dał żywą i prawdziwą postać“

W *Naprzodzie* zaś:

„Wagnera grał pan Przybyłowicz dziwnym trafem źle“.

I tak dalej do końca. Co w *Czasie* jest białem, jak śnieg, to *Naprzód* maluje czarnemi jak sadza, barwami...

Po przeczytaniu obu sprawozdań pomyślałem: a przecież autor Fausta nie bez racyi zawołał: „Ubijcie tego psa! Bo to recenzent...“

Bo jakąż ma rękojmię czytająca publiczność prawdziwości danego kryteryum, jeżeli o jednej i tej samej rzeczy spotyka się jednocześnie z dwoma tak krańcowo sprzecznemi sądami?...

*Bertold Menkes.*

# Tragedye duszy.

Niezawsze tragedya kończyć się musi zanikiem osobowości czyto fizycznej, czy psychicznej bohatera. Niejednokrotnie opiera się cały jej rozwój na odrodzeniu, na oczyszczeniu się moralnem, na wskrzeszeniu instynktów przyrodzonych, przywalonych ogromem nieprzyjaznych stosunków. Typicznym przykładem takiego tytanicznego odrodzenia się osobowości, jest „Faust“ Goethego, jest „Nora“ Ibsena, jest „Potęga ciemności“ Tołstoja (postać Nikity). Ale tu odrodzenie odbywa się na tle zapasów psychicznych, zapasów duszy z przeciwnościami.

Bracco natomiast zamyślił przeprowadzić w swych „Tragedyach duszy“ taki proces czyszczenia się moralnego osoby w zapasach ciała z ciałem; odrodzenie, jakie się na scenie dokonuje, zostało w swych zaczątkach spowodowanem nieprawością ciała, a w najdalszych swych konsekwencyach dąży również do połączenia się cielesnego. Nie można jednakowoż wyłączyć tu współdziałania duszy. Każde cierpienie, o ile zostało zapoczątkowanem jakiemś niedomaganiem cielesnem, o tyle działać poczyna na organizm psychiczny człowieka i wywoływać reakcyę.

Ta więc okoliczność różni dramat Bracca np. od Fausta, iż w „Tragedyach duszy“ cierpienie psychiczne oparte jest głównie o pobudki fizyczne, zmysłowe, w „Fauście“ zaś przeważnie o pobudki duchowe.

Ale jest i inna jeszcze różnica. I ta stanowi o słabości i powierzchowności dramatycznego konfliktu w „Tragedyach duszy“.

Powiada Volkert w swej „Estetyce tragizmu“: „Reue zu empfinden, von Gewissensbissen gequält zu sein, dies offenbart noch keine ungewöhnliche Grösse des Menschen. Wer sich dageden aus seiner Verstrinkung in tiefe Schuld, aus einer Verbleudung durch die Zauberkraft der Sünde tapfer herauskämpft, mit g r ü n d l i c h e m s i t t l i c h e n S i n n e e i n e W i e d e r g e b u r t i n s i c h v o l l z i e h t und so seine ins Arge verkehrte Natur wieder zum Guten umkehrt, der legt ein grosses, sittliches Können an den Tag“.

Wszystkich powyżej wymienionych warunków, aby odrodzenie się moralne bohatera miało doniosłość i siłę działania, brak dramatowi Bracca. U niego widzimy tylko „Reue“, tylko żal, skruchę, a nie to silne, na przełaj wszystkim zewnętrznym stosunkom idące, wewnętrzne odrodzenie się, z taką pogardą dla ciała, bytu fizycznego, iż pokonuje nawet obawę śmierci“. („Potęga ciemności“). W dramacie Bracca bohaterka, spłodziwszy dziecię nieprawe, odczuwa tylko skruchę, żal za czystością sumienie, cierpi strasznie, ale jej odrodzenie się nie jest spowodowane tą walką wewnętrzną, ale przypadkowemi warunkami zewnętrznemi, jak zejście ze świata dziecka i t. d.

I to powoduje, iż podstawowa idea dramatu Bracca bardzo jest słabą, bardzo mało pogłębioną. „Fehlt — powiada dalej uczony niemiecki — diese in die Tiefe gehende Umkehrung des Charakters zum Guten, ist nur Schuldgefühl und Reue ohne diese radicale Wirkung vorhanden, so kann dies zwar auch als moralische Reinigung bezeichnet werden; nur ist sie von weit geringerer erhebender Kraft“.

Pytam więc: dlaczego mimo to dramat Bracca działał, dlaczego w pierwszych chwilach pozwalał nam zapominać o tak słabych jego podstawach ideowych?

Na pytanie to prędko się nasuwa odpowiedź: wspaniałe użycie ś r o d k ó w s c e n i c z n y c h, jakie napotykamy w „Tragedyach duszy“ jest rekompenzatą za brak uzasadnienia.

„Tragedye duszy“ składają się właściwie z trzech scen, trzech „wielkich scen“, jak je za kulisami zwą. W każdym akcie jedna: w pierwszym wielka scena przyznania się wiarołomnej małżonki, w drugim wielka scena między uwodzicielem a nieszczęśliwą jego ofiarą, w ostatnim wreszcie wielka scena przeprosin między mężem a żoną. W tych trzech scenach wypowiada się cała siła dramatu, inne służą tylko, jako środki, zaznajamiające widza z sytuacyą, lub, jako rodzaj chłodnika na rozgorączkowane i napięte nerwy. A każda ze scen „wielkich“ odrębnie od całości dramatu wzięta, stanowi doskonały i subtelny obraz, w którym wszystkie możliwe środki zużyte są z niepo-

równaną znajomością tego, co działać musi na umysł widza. I tu przejawia się rys charakterystyczny twórczości Bracca, jego tak zwany „weryzm“, jego przynależność do naturalizmu w bardzo szerokiem pojęciu. Jest to, powiedziałby filozof niemiecki: „Breite in der Darstellung des Zerrüttungsvorganges“, owe rozdrapywanie rany z całą świadomością tego, co się robi, owa dążność do rozczłonkowania każdego faktu, lub słowa pod względem jego pobudek psychologicznych.

Literatura najnowsza zna tę dążność doskonale.

Dość przypomnieć ową drobiazgową dokładność, z jaką Dostojewski opisuje rozstrój nerwowy Raskolników, z jaką Flaubert rozprowadza senne marzenia i chuć pani Bovary, z jaką Arne Garborg i Knut Hamsun z okrutną powolnością swych bohaterów do upadku doprowadzają.

I taki sposób przedstawiania stanów psychicznych spotykamy u Bracc.a Działaniem na nerwy każe zapominać o kruchej podstawie, na jakiej dramat, jako całość pojęty, jest zbudowany.

*Henryk Zbierzchowski.*

## MUZYKA.

Drugi koncert gal. Towarzystwa muzycznego o bardzo bogatym programie wypadł bardzo słabo. Nie pomogą tu sympatye, lub antypatye osobiste; krytyka bezstronna mająca za zadanie już nie czysto muzyczne studyum, ale przynajmniej objektywną ocenę nie może mydlić oczu frazesami utartemi, j. n. p. koncert wypadł świetnie pod batutą naszego cenionego... i t. d., ale musi sobie jasno zdać sprawę ze wszystkich błędów, a było ich wiele tym razem. Więc naprzód o orkiestrze, która wykonała dużą symfonię Schuberta.

Samo to dzieło nieco monotonne i nudne, robiące wrażenie żmudnej racej pracy muzycznej, aniżeli prawdziwie natchnionej kompozycyi, wymaga świetnego i doskonałego wykonania. Tymczasem orkiestra Towarzystwa muzycznego, wskutek balastu amatorów i uczniów, mimo to, że posiada w swojem gronie tak świetne siły profesorskie, jak pp. Sladek i Wolfsthal i inni, przedstawia się smutno. Niema przedewszystkiem jednolitości i barwy w brzmieniu wszystkich instrumentów, tak, że zamiast pewnego brzmienia, będącego syntezą instrumentów wszystkich, możemy zawsze odróżnić osobno flety, fagoty, skrzypce, trąby i t. d. Ale tego nie można nabyć odrazu. Trzeba długo i wogóle grać razem, aby nastąpiła ta idealna harmonia symfoniczna. Dalej brakło orkiestrze opracowania. Skrzypce drugie stale się spóźniają i wszędzie odczuwa się chwiejność i niepewność; nawet czystości intonacyi dałoby się wiele zarzucić.

O chórze, który wykonał, jako drugi punkt programu, wraz z fortepianistką p. Jaszek, fantazyę Beethovena, dałoby się to samo powiedzieć, co o orkiestrze. Pociesza nas tylko to, że w chórze Tow. muzycznego przeważają siły młode, więc będzie można coś z niego zrobić. Koroną wieczoru miało być dzieło Brucknera „Te Deum“, a było ono raczej jego dobiciem. Bruckner, olbrzym muzyk, u nas niestety mało znany, najgenialniejszy symfonista, którego kompozycye proszą się prawie pod jakieś wielkie i sumienne studyum, gdyby był usłyszał kwartet solowy, wołający o pomstę do nieba, byłby umarł po raz drugi z rozpaczy...

Nie rozumiemy, jak p. Wysocki, o którego szkole śpiewu już parę razy zdanie wypowiedzieliśmy, może puszczać początkujące swoje uczenice na estradę, robiąc sobie tem najsmutniejszą reklamę. P. Kaufman jedynie ratował jeszcze jako tako sytuacyę.

Wogóle nie wiemy dlaczego, ale Towarzystwo muzyczne upada. Nie odmawiamy p. Sołtysowi pracowitości i dobrych chęci, ale to za mało. Dawniej było lepiej...



*Walenty Ćwik.*

## Z wycieczki po kraju.

(Dokończenie).

Pomimo położenia przy głównym trakcie pocztowym, wiodącym ze Lwowa przez Kraków do Wiednia, pomimo wcielenia do głównej sieci komunikacyi kolejowej, nie zdołał Przeworsk podnieść się rychło z letargu, dopiero otwarcie kolei do Rozwadowa, budowa drugiej linii w kierunku Dynowa, zwłaszcza zaś położenie cukrowni nowe tchnęło życie w zmartwiałe mury miasta. Konsorcyum pierwszorzędnych rodów i potęg finansowych, kraju z ordynatem ks. Lubomirskim na czele stworzyło „Galicyjskie akcyjne towarzystwo przemysłu cukrowniczego,“ które obok właściwego swego zadania otworzyło nie tylko pole zarobku dla tysięcy rodzin, ale i środki wydobywania z nędzy podupadłych włościan. Asygnując zaliczki na dostawę cukrowych buraków, co więcej, udzielając znacznych, bezprocentowych zarobków na wykupno zagrożonych licytacyą gruntów i zagród włościańskich, stało się towarzystwo witanym dobrodziejem dla niejednego zrozpaczonego biedaka.

W ponury dzień jesienny wyjechaliśmy w celu zwiedzenia cukrowarni, która kończąc swoją kompanię tegoroczną, gorączkowo rozwijała właśnie czynność I oto, po przybyciu na miejsce, spotykamy całe szeregi zaprzęgów, odwożących do fabryki buraki, a zabierających stamtąd wytłoki, ponętną karmę dla bydła. — Ustawiczny ruch wozów, jarmarku czyni wrażenie, a celem ich jazdy rozległy plac, na którym potężny wznosi się gmach fabryczny, otoczony pomniejszemi budynkami, pomieszkaniami licznego personalu służbowego. — Na podwórzu stosy buraków oczekują przesunięcia do kanału, gdzie płynący war oczyści je z ziemi i brudu. Od czasu do czasu uchyla się podstawa kanału, a przepłukane buraki nikną w głębi, by porwane następnie siłą maszyneryi znaleźć się na wysokiem piętrze i spadać stamtąd w metrycznem tępie, równemi co do wagi partyami pod ostrza siekaczy. Pokrajany materyał chwytają grabki, krążące ustawicznie za pomocą długich łańcuszków i przenoszą go do ustawionych szeregiem kociołków, wyciskających soki cukrowe. Uzyskany płyn przechodzi teraz z piętra na piętro przez różne alembiki, retorty, kotły i kociołki, olbrzymie kadzie i piece, gotując się, wrąc, kipiąc, czyszcząc i klarując. — W miarę postępu i przemiany surogatu na syrop potęguje się i upał w poszczególnych salach i oddziałach i dochodzi tam, gdzie wywar spływa do blaszanych form (kształtu zwykłych głów cukru) do potężnej siły 40° R. Toż i nie dziw, że pracujący tam robotnicy zrzucają z siebie odzienie i pół nadzy poruszają się w tej, nie do wysłowienia dusznej, i przesiąkniętej słodyczą atmosferze. — Napełnione formy dostają się do czeluści, wirujących z olbrzymią szybkością 600 obrotów na minutę, gdzie pod wpływem ruchu ulatniają się płynne części cukru. Wydobywanie skrystalizowanych głów z blaszanych form, podkładanie ich pod miarę, opakowywanie i ładowanie, łatwiejsza to część pracy cukrowarniczej.

Inną drogą dąży fabrykacya używanego dziś ogólnie cukru kostkowego. Oto syrop przekształca się w mączkę, która w wilgotnym stanie przechodzi do ustawionych szeregami w sali maszyn w formie koszów młynarskich. — Dolne części tych koszów, to lejkowate przyrządy, które w miarowem tępie tłoczą mączkę w płytki i krają je na równomierne paski szerokości kartek — Stojące przy aparatach dziewczęta odbierają za pomocą stolniczek pokrajane w paski płytki i przenoszą je do suszarni. — Tam w głębi przy 50° R. ulatnia się w ciągu doby resztka płynnych części składowych, a skrystalizowane płytki podchodzą pod nowe przyrządy, rozkrawujące paski na kostki. — I znów chwytają robotnice kostki na podkładane stolniczki i wprawnie zsuwają je w papierowe pięciokilowe pudełka.

Cały gmach fabryczny oświetlony elektrycznie, pędzony naturalnie maszynami, to też transmisyj, lin tam bez liku, warczą koła i kółka, sapią tłoki i wentyle, a huk zagłusza kroki i rozmowę uwijających się w bieli, niby duchy, po salach robotników.

Tysiąc kilkaset dziennie płatnych ludzi, przeważnie sił męskich — kobiece bowiem mniej odpowiadają zadaniu — kilkudziesięciu stałych oficyalistów cukrowarni stoi podczas kilkumiesięcznej kampanii na przemian dzień i noc przy pracy, a nie pozwala sobie w tej mierze ulg nawet i naczelna dyrekcya fabryki.

Niezgorszy musi być rozwój przeworskiej cukrowarni, skoro Towarzystwo przystąpiło do budowy filii w Czerniowcach i mniejszej nieco w Tarnopolu.

### NADESŁANE.



Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.